

Sny [wybór, część pierwsza]

Nigdy nie prowadziłem dziennika, to znaczy nie prowadziłem zapisu zdarzeń na jawie. Zapisywałem sny, o ile je pamiętałem po przebudzeniu. Kiedy czytam te stare notatki, sny stają się tak intensywne, jak wówczas. Porządkuję zapisy snów, żeby coś zrozumieć z siebie, albo przynajmniej z istoty tego „udzielnego”, jak mówi Mickiewicz, świata, odcedzonej i przetworzonej przez własne pragnienia, rzeczywistości. Moje sny składają się nie tylko z moich zachwyków, chęci i lęków, lecz także, jestem pewien, z nie moich snów.

1974

Targowisko w Podkowie. Dwa pieńki do rąbania mięsa. Przed nimi klęczą: on i ona. Nad ich głowami w powietrzu wiszą dwa topory. Wokół milczący tłum.

Seledynowe świerki pod śniegiem. Jeden po drugim włączają się do tanecznego koła.

Siedzę, pochylony nad małym stolikiem, piszę. Ze mną siedzi Raskolnikow. Przychodzi jego ojciec – Rastignac.
Z tyłu zwala się na mnie olbrzymi jeź.

Teatr. Cały spektakl. A w hallu – mniejszy teatr. Tu rękawicznik sprzedaje swoje wełniane, kolorowe wyroby. Każda rękawiczka od pary.

Ekspedycja z Saturna przywozła rewelacyjną dla mnie wiadomość, że są tam gęste lasy i zarośla. Dali mi stamtąd gałązkę dębu, przeraźliwie jasną. Długo się w nią wpatruję. Promieniowanie.

Chłopiec z dziewczyną na dachu wieżowca. Dookoła nich pełno kolorowych strzępków. Ona opowiada: jej ojciec jest fizykiem, pracował w Instytucie nad wyzwoleniem energii z kryształka lodu przy jego pomniejszaniu. Ale energia ta przydała się tylko do nadmuchiwania baloników. Potem wszystkie w jednej chwili popękały. Chłopiec bierze te ścinki i lepi z nich wielką kulę, która wygląda, jakby cała była z ognia. Kula staje się balonem i chłopiec, uczipiony pod nim, odlatuje.

15/16 grudnia

Przekraczam bramę miasta. Tam tłum ludzi i człowiek z halabardą. Ma na sobie trykot – prawa połowa w szachownicę, lewa – cielista. Lewa połowa twarzy przesłonięta. Na tej masce – znak słońca. Pytam: – Jak się nazywa to miasto? On: – Port Artur. Ja: – A ty kto jesteś? On: Artur. Jego świątobliwość czeka na ciebie. I odprowadza mnie.

1975

10/11 stycznia 1975

Wchodzę do pokoju w dworku. Jest moja mama i dwie stare, siwe kobiety. Jedna chuda i brzydka, druga – piękna, ma bujne włosy. Witam się z nimi. Pojawia się dziewczyna o bardzo małej głowie i kasztanowych włosach. To jest Barbara Baczyńska. Prowadzi mnie do męża.

Jesteśmy we francuskim mieście, w zaułku. To on. Siwy, w popielatym garniturze. Spacerujemy po uliczkach, w górę i w dół. Mówimy o tym, co o nim piszą. Że Iwaszkiewicz bardzo ładnie, a znów Zagórski zbyt patetycznie. Zwłaszcza, że ma taki piskliwy głos.

Gmach polonistyki. Na piętrze zdaję egzamin, albo tłumaczę się z czegoś. Komisja: – Dajmy mu już spokój, stary po niego przyszedł.

W połowie schodów ojciec o lasce. Ściskamy się. On: – Czekam na ciebie.

Ja: – Zaraz, zaraz.

Tłum ludzi. Ktoś: – Gratuluję ci starego.

Rozglądam się, szukam ojca. Nie znajduję. Tracę powietrze.

1977

Jestem we wnętrzu szkieletu wielkiej ryby. Z Rzymianinem, senatorem w todze przechadzamy się wśród żeber (!).

1978

Czyste, niebieskie niebo nad Warszawą. Na niebie gruby człowiek w bardzo kolorowym kontuszu, z szabłą. Idzie po niebie i tnie szabłą wróble, zakrwawione pióra spadają na ziemię.

Radziecki teatr studencki gra na Krzywym Kole. Rozdają kawałki surowego mięsa.

Człowiek niosący naręczę lodu.

Pięciu ludzi we włochatych kostiumach i szmatach (bure, zielonkawe, rudo-brunatne). Jeden w czerwonej peruce. Stoją w ogonku. Bardzo ruchliwi.

1979

Paryż, XIX wiek. Mały teatrzyk, na scenie coś się niemrawo dzieje. Wchodzi na nią człowiek obwieszony lampionami, świecę żółto. To jest syn sprzedawcy lamp.

W naszym ogrodzie jest czapla. Chwycała mnie za palec. Zabolało.

Nowe biuro. Jasno, kryształ, kandelabry. Urzędnicy siedzą przy jednym, bardzo długim stole, niektórzy piszą na maszynach. Wchodzi mnich w błękitnym habicie. – Co to? – pyta – panowie jeszcze nie przebrani?

Rozbiera wszystkich, żeby ubrać ich w takie same habity. We wnętrzu siedzi dwóch chłopców. Jeden w czarnych spodenkach i czerwonym swetrze. Przeglądają albumy.

Wielki szpak (większy ode mnie), z którym spokojnie rozmawiam.

Jadę parowozem, jakby w stronę Milanówka. Wsiadam we wsi Zagroda. Tam świnia, która mówi i rzuca się na mnie, gryzie. Zaczyna padać śnieg.

Siedzę na dachu i zakładam nowe, czarne półbuty.

Wybuch. Czytam list palacza z parowozu, który wszystko wyjaśnia.

1980

Sesja naukowa w sprawie końca świata. W katedrze. Wychodzę w pełne słońce. Widzę pijaka. Mówi, że w knajpie za rogiem dowiedział się ważnych rzeczy o końcu świata.

Biorę go na sesję, udzielam głosu. Wszyscy zgorszzeni i obrażeni na mnie.

Są u mnie: Iwona M., Elka i Danka Wojciechowska. Inwazja zwierząt czerwono-cieli-
stych, jak raki bez pancerzy. One krzyczą, żebym rozdeptał. Nie mogę. Wojciechowska
bierze w dwa patyki jedno takie i wyrzuca.

Jadę pociągiem.

Nasz Teatr Podkowa występuje w starej katedrze w Podkowie. Przedstawienie „Bóg się
rodzi”. Bardzo bolesna interpretacja kolędy. Następnej nocy ozywają figury z ołtarza
i wszyscy ten cud przypisują naszym działaniom.

Ludzie odsuwają się ode mnie.

U wejścia do katedry dwóch tajniaków. Trzeci mówi: – Niech pan idzie za mną
do zakrystii.

Widzę w jego rękawie nóż. Wiem, że wierni i esbecy chcą mnie zabić.

Wiosna, droga na skraju łąki, słońce. Wesole kobiety wiozą na wozie starą trumnę,
otwartą, pełną malin. Częstują mnie. Czuję się uratowany.

Kobieta w platynowej peruce. Po najdłuższym włosie łążą jej rozmaite robaczki, meta-
licznie błyszczące: czerwone i białe. Z Krzyśkiem zdejmujemy je, ale pojawiają się wciąż
nowe.

Kobieta prosi, żeby nakręcić budzik. Jest drewniany z kukułką i pozytywką.

Na błękitnym tle czarne drzewo.

Maski na kórkach zielone i rude.

Szymon słupnik udaje szaleńca. Obrzuca błotem ludzi. Kiedy odchodzą, ogryza paznok-
cie. Księżę bierze go na dwór. Pisze list do księcia Sycylii z prośbą o owoce dla Szymo-
na. Odmowa. Księżę porywa Szymona. Na próbę konfrontują go z nagą dziewczyną.
On ucieka na stóp.

Powązki. Pełno dzieci, bieżanina. Odganiają mnie od jakichś trzech grobów, z których
atletyczni jegomoście linami wyciągają nieboszczyków.

Idę na czyjś grób, podpierając się laską zrobioną z wygiętego korzenia.

Z Kasią w Londynie, na spektaklu Świątoszka. Scena przedłużona bardzo szerokim far-
tuchem. Gra wesola, energiczna. Kolorowe kostiumy (czerwień, niebieski, żółty). Pełne
światła.

Między aktami pantomima w wykonaniu niebywale chudych facetów w szarych kostiumach i szarych maskach (niektóre z dziobami). Podczas przerwy spotykamy się z Kasią w czarnym foyer.

Po dzwonku budzę się.

1983

wrzesień

Wieża, może zigurat? Wielościenne, wielowymiarowa. Zgeometryzowane figurki ludzkie idą ścieżkami po tej wieży. Najpierw przez kolor piaszkowy, potem lekko różowy, potem bladoniebieski i biały. Idąc, upodabiają się do tła. Idą w głąb wieży. Nagle otwierają się przed nimi żółtawe drzwi – na zieloną ławkę.

jesień

Przyśnił się słyszany kiedyś taniec – tamburetta, kompozycja Adama Jaworskiego.

1987

czerwiec

Rozmowa z Jerzym Wasowskim – na tamtym świecie. Pytam o Przyborę.

On: – My do siebie raczej nie telefonujemy.

październik

Elwira jest nauczycielką rosyjskiego. Szkoła w brunatnej lepiance. Dzieci nie chcą się uczyć. Ja też.

1988

Przychodzę do domu w Aninie (duży, piętrowy, szary z tarasem), gdzie przyjmują mnie Tuwim i pani Stefania.

1991

27 lipca 1991

Chyba po raz pierwszy przyśniła mi się Krystyna (siostra), choć już wiele miałem snów z cyklu: „powroty zmarłych” – że przyjeżdżają (najczęściej ojciec) po długiej podróży, nieobecności. Jestem pewny siebie w swoim nowym, innym życiu – bez nich, ale czuję się w obowiązku jakoś tłumaczyć, że dom jest inaczej urządzony. A teraz Krystyna w kolorowej sukience, uczesana z kitką. W rękę trzyma walizeczkę. Jest nam miło, choć ona raczej milcząca. Nagle mówię: – A wiesz, jak ciebie nie było, wydałem tomik twoich wierszy.

Ona jakoś bez entuzjazmu, a ja też nie chcę szukać książki, bo przypominam sobie tę notatkę na końcu, że „umarta”. Więc płaczę się w rozmowie. Wreszcie daję jej tomik,

a ona: – Dlaczego nie napisałeś, że „popętniła samobójstwo”. Przecież umrzeć i popętnić samobójstwo, to co innego. Widzisz, trzeba pisać prawdę.

1992

grudzień

Pod oknem przecwałował tabun koni na biegunach.

1993

Rotunda, dawna świątynia. Wiszę, podczepiony pod kopułą. Od dołu podnosi się woda.

1996

jesień

Dziura w niebie, pełna ognia.

1997

8/9 czerwca

Impreza w Kole Podkowy. Ula z Grześkiem. Smutna. Długie włosy, długa granatowa suknia w groszki. W rękę przywiedły kwiat. Mówi: – Przyszłam w rocznicę mojego szaleństwa.

1998

8 lutego

Łuk tęczy widziany z góry. Po nim biega małpa.

Synagoga. Widok z góry. Pośrodku krąg tańczących chasydów. Nagle niewidzialna siła podnosi jednego z nich do góry, on próbuje się wyrwać.

13 lutego

Piaszczyste wzgórze. Człowiek w żółto-fioletowej szacie – medytuje. Powoli zamienia się w stożek. Stożek zaczyna wirować i unosi się, odlatuje.

czerwiec

Pomarszczona twarz starej kobiety. Zbliżenie. To są bruzdy w polu, w nich coś kielkuje.

sierpień

Budowałem domy, w nich wiele pomieszczeń. Niektórych nie kończyłem i przechodziłem do następnych. Czasami przypadkiem wracałem, wędrując labiryntem budowli. Ale starałem się trzymać jak najdalej od pierwszego pokoju.

1999

9 maja

Podziemne przejścia (jak pod Dworcem Centralnym), szerokie szare korytarze, puste. Za mną bezgłośnie biegną wszystkie psy, które miałem.

2 września

Z Małgosią Baranowską zbieramy zioła. Mamy już całe naręcza. Teraz trzeba zejść po wielkich schodach ze zbocza czegoś, jakby ziguratu. Niebezpiecznie jest, bo kamień (beton?) kruszy się pod nogami. W dole szosa. Na niektórych stopniach są skrzynki kamienne, do których można chować rzeczy zbędne przy dalszym schodzeniu.

listopad

Żywy koń w kawiarni „Nowy Świat”.

16 grudnia

Karp, który mnie boleśnie gryzł.

grudzień

Krysia spotkana w tłumie, w barze.

Obraz czarno-biały, bardziej szary. Sotzenicyn w mundurze Mikołaja II, jako car, z żoną wchodzi na pokład statku przycumowanego przy brzegu rzeki. Na pokładzie nie ma nikogo. I dookoła – pustka.

2000

17 marca

Przyjęcie w Zapłotkach. Timoszewicz wspomina moją mamę. Jest Penderecki. Ma aparat, który przekłada rękopis na głos autora. Trzyma w ręku mój tekst, szkic o poezji pisany jeszcze w liceum. Wkłada go do maszyny. Słyszę głos, ale nie swój, jakby kobiecy.

marzec

Na Pradze widziałem warsztat: „Szablony, szyldy, ordery, odznaczenia”. Potem sen. Zamawiam tam wierną kopię Orderu Orła Białego, ale żeby nie być posądzonym o fałszerstwo, na kopii orzeł jest bez jednej tapy.

13 kwietnia

W kilku miejscach nakłuto mi prawy policzek i obficie wytrysnął przezroczysty atrament.

3 maja

Mieszkam z kobietą w małym domku u podnóża gór. Jest późne lato. Idziemy wzdłuż płotów do domu. Dowiaduję się, że po długim czasie rozpoczyna się śledztwo w sprawie śmierci mojej mamy. A to ja ją zabiłem. W głowie układam sobie zeznania.

Spotkanie ze śledczym. Gładko wygolony brunet o okrągłej twarzy, w białym garniturze.

8 maja

Zdanie: Ale jeździec nie zdążył rozkulbaczyć konia, a już wjeżdża następny.

maj

Jestem chory. Gorączkowo piszę.

czerwiec

Pod fałszywym nazwiskiem przekraczam granicę.

18 czerwca

W Moskwie, w teatrze. Próba generalna. To aktorzy Teatru im. Jeromołowej. Spektakl jest sumą wszystkich ich spektakli. Pozbierane kostiumy. Jedna z aktorek siedzi z boku i zaczyna coś do mnie mówić. Wtedy pęka jej maska na twarzy.

Oglądam z nadscenia. Widzę głównego aktora w czarnym płaszczu, przetykanym złotą nicią i w takiej samej masce, jak z komedii dell'arte. Nagle inspicjentka, zajęta objaśnianiem mi akcji, woła: Eto koniuszka! (Rozumiem, że w gwarze teatralnej, to znaczy: finał.) I biegnie do swoich zajęć.

październik

Szklane tablice przykazań.

październik

Ryby na dnie Łódki. To są uformowane w kształt ryb tancerki Degasa.

(inne z tego roku, bez dat)

Różne dziurki na klucze. W nich widzę ludzi w zmienionych kolorach.

Wszystko wykute z białego marmuru. Rzeźba (nagrobek?): Szaleństwo czuwające u łoża Rozumu. I dziwny dźwięk. Mruczenie marmuru.

Na rozstajach – wieszaki. Na nich zostawiam ubrania, z nich zrywam ubrania.

Stoję na drabinie i maluję dom w Wawrze. Podjeżdża samochód, za kierownicą moja mama. Patrząc na mnie, powoli minęła bramę, odjechała.

2000

kwiecień

Krajobraz pustynny. Ja i ktoś. Przed nami dość uproszczona figurka kaptana z rozłożonymi rękami. Na ramionach – żółto-niebieskie paski. Nieproporcjonalnie mała główka. Urywam ją. W otworze mrowią się jakieś żyłtka. Muszę rzucić tę głowę w ogień i robię to.

lipiec

W górach wyścig motocyklowy kobiet. Kilka z nich zwalnia. Widzę, że są przykute do motocykli łańcuchami i że tego nie chcą. Pomagam im się wyzwolić. Razem skuwamy tymi łańcuchami motocykle z zapuszczonymi silnikami i kierujemy je w dalszą drogę, to jest w przepaść.

lipiec

W szpitalu psychiatrycznym. Tu jest mój ojciec. Od 33 lat. Dawno u niego nie byłem. Stoi pod ścianą, jakiś taki błękitny, drobny pan z wąsikiem. Pielęgniarka mówi, że na ogół milczy, tylko czasami wypowiada jakieś całkiem sensowne zdanie, które wyjaśnia coś z jego życia. Cytuje mi jedno z nich.

Myślę, że będę musiał tu przychodzić częściej. Może uda mi się usłyszeć takie zdanie.

Strychy, 30 lipca

Pięć posępnych posągowych Postaci. Każda z nich wygłasza po jednym zdaniu. Zdania są elementarne, proste i jednoznaczne. Mam je zapamiętać, a pamiętam tylko wizualnie: ich długość, poszczególne litery (na pewno K, S, P), nawet nie słowa.

2001

Na skraju przepaści położyłem cegłę, bardzo umiejętnie (właśnie to słowo pada we śnie). Ale muszę zbudować całą świątynię.

Dialog między mną i kimś, kogo nie widzę.

- W twoich oczach widzę jej projekt.
- Czy starczy nam nocy?
- Jeśli nie starczy, zamknięte będą oczy, albo słońce w lochu.

Czytanie teczek z SB. Pożar archiwum. Kartki mam w głowie. Głowa pęka, kartki się rozfruwają. Ktoś je zbiera. Te strzępy są jeszcze bardziej złowrogie niż całość. Pod ścianą stoi czarna postać. Mówi: – Jestem spalonym agentem.

2002

październik

Ilustracja do *Cmentarza morskiego* Paula Valéry. Z ziemi (wzgórza) wystają maszty-krzyże, na których powiewają strzępy żagli, bander i metalowe wieńce.

(bez dokładnej daty)

Ludzie w ubraniach obróconych na lewą stronę i trawa rosnąca korzeniami do góry. Druga strona powietrza – widoczne nitki i szwy.

2003

31 sierpnia

Szeroki wąwóz, do którego wchodzić dwie kilkudziesięciometrowe, smukłe postaci we frackach: granatowym i czarnym. Głowy mają w kształcie końskich czaszek. Idą w zwolnionym tempie. Tam, gdzie przejdą, otwierają się rany. Zaraz się zablźniają. Blizny to suwaki.

12/13 września

Duża grupa ludzi w zimowych ubraniach. W wielkim, drewnianym domu. Jesteśmy w drodze (ucieczce?) i co jakiś czas jeden z nas jest przez innych zjadany. Mimo to dobre nastroje. Otwierają się drzwi i dołącza do nas uśmiechnięty Płaton Nabokow.

Wiem, że rzucono na nas urok i mogę go odczynić, jeśli wykonam rzecz następującą: na pionowo ustawionej desce umieszczę wota od ludzi. To są na ogół pierścionki i kółka (maleńkie bransolety) ze srebra i czarnych kamieni. Próbuję, nie udaje się. Gdybym miał gwoździe... Ale nie mam.

Skupiłem się na nauczaniu języka polskiego jako obcego. Nie potrafię sobie przypomnieć, jaki był mój ojczysty.

2004

Wizyta w nieznanym mieście. Stare mury, szpital. Odbywa się niszczenie kart choroby.

15 stycznia

Prowadzę samochód, ale siedząc na miejscu dla pasażera, nie mogę się przesiąść. Ale prowadzę, nawet zatrzymuję się na światłach. Bardzo się boję.

10 lutego

Safari. Polowanie na diabła nocą w Podkowie. Nie mogę nikogo do tego namówić. Sam biorę jakiś kij i jeżdżę samochodem. Na rogu Myśliwskiej i Jeleniej nagle robi się ciemno. Gaśnie księżyc, latarnie, światła samochodu i wjeżdżam w czarny tunel, jakby pełen zastygłego lepiku. Boję się. Zaczynam śpiewać: „Pod Twą obronę”, z trudem przypominając sobie słowa. Ale wyśpiewuję całą zwrotkę. Budzi mnie Iwona. Mówi, że płakałem.

12 kwietnia

Podziemny korytarz, po prawej – rząd wielkich palenisk z kolistymi drzwiami. Zgarbiony człowiek biega tam i z powrotem. Do jednych dorzuca, inne gasi, plując w nie obficie. Do jednych dokłada mniej, do innych – więcej. To są paleniska wielkich mitów. Pałac nie wie jednak, jakich. Wypetnia tylko rozkazy.

8 lipca

Mija mnie Z.B. Chcę mu powiedzieć, że wiem o jego donosicielstwie. On jest w czarnym habicie z kapturem, a na czole ma herb (na białym tle trzy czerwone kreski poziome). Twarz ma pomalowaną na biało jak clown.

9 lipca

Czarne kwadraty w krzakach, na ścianach, w powietrzu. To są przejścia.

czerwiec

W głębokim dole leżą sztaby. Wyciągam kilka na brzeg jamy, są bardzo ciężkie. Leżą. To są słowa. Próbuję jedno z nich przesunąć, udaje się ledwo-ledwo.

22 października

Sen o odkryciu. Do stojących na półce tomów Brehma dostawiam własny, oprawiony rękopis. Jest to opis gatunków zwierząt, które nie należą ani do ssaków, ani do ptaków, ani też do bezkręgowców, ryb, płazów czy gadów.



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, cykl *Latanie* (technika mieszana)